

LATO  
NA RODOS

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2020

Text © copyright by Katarzyna Ryrych-Korczyńska, 2020

Projekt okładki *Joanna Rusinek*

KATARZYNA RYRYCH

LATO  
NA RODOS

Nasza Księgarnia



## Rozdział pierwszy

Walory klimatyczne i zabytki sprawiają, że Rodos to druga z wysp greckich (po Krecie) najchętniej odwiedzanych w celach turystycznych i wypoczynkowych. Ruch turystyczny obsługiwany jest przez port lotniczy znajdujący się 11 kilometrów na zachód od stolicy.

[pl.wikipedia.org](http://pl.wikipedia.org)

Kiedy myślę o lecie 2018 roku, robi mi się smutno, bo następne takie wydarzy się dopiero za sto trzydzieści lat.

Nie chodzi o to, że umrę, ale o to, że nie mam pewności, co stanie się ze mną po śmierci. Bo jeśli tam nic nie ma, to nie jest to w żadnym stopniu pocieszające.

Nic nie słyszeć, nic nie czuć, no i niczego nie widzieć.

Konkretnie chodzi mi o zaćmienie Księżyca, które oglądałem, leżąc na dachu. Lepka po upalnym dniu papa kleiła się do stóp i do starego koca, który przyniósł Turet. Pachniało smołą, eliksirem Wuja Kukułki i kurzem.

Ale i tak było pięknie. Księżyc wisiał nad Rodos ogromny i czerwony, spuchnięty, zupełnie jakby go osa użądliła.

A kiedy spojrzałem w drugą stronę, dostrzegłem gwiazdy. Bardzo, bardzo dużo gwiazd.

– Uh-duh-duh... – powiedział Turet, więc ostrzegawczo podniosłem rękę.

Na pewno by mnie nie dotknął, ale jeszcze tego brakowało, żeby ktoś zobaczył, jak leżymy na dachu. Raczej nikt nie zrobiłby nam niczego, jednak o tej porze dzieciaki w naszym wieku powinny być w domu.

Fakt, że dorosłych niewiele to obchodziło. Spali albo urządzali grilla na balkonie czy przed blokiem, szczęśliwi, że nas nie widać ani nie słyszą.

Pomyślałem sobie, że rodzice Tureta naprawdę są szczęśliwi, kiedy Turet milczy. Bo gdy otwierał usta, zaczynał od swojego „uh-duh-duh”, a potem wymachiwał rękoma i z szybkością karabinu maszynowego wyrzucał z siebie słowa znane jedynie letnim rezydentom Rodos. Słowa, które szokowały zwyczajnych ludzi.

To lato wydarzyło się właśnie dzięki Turetowi. Zaczęło się od tego, że zabrakło dla mnie miejsca na turnusie, a Tureta nikt przy zdrowych zmysłach nie zintegrowałby z innymi dziećmi.

W zasadzie miałem powiedzieć: „Z normalnymi dziećmi”, ale przypomniałem sobie to wszystko, co przez cały ubiegły rok tłumaczył mi Makmarfi.

Że nie ma wyraźnej granicy między tym, co normalne, a tym, co nienormalne, chyba że ktoś słyszy głosy albo widzi rzeczy, których nie ma.

Ale to też nic pewnego, bo tak naprawdę to nikt nie napisał czarno na białym, że to jest takie, a tamto inne. I że coś jest, a czegoś nie ma.

Wracając do obozu – bardzo się zmartwiłem takim stanem rzeczy, bo oznaczało to siedzenie w mieście.

– Uh-duh-duh – powiedział Turet. – Sami sobie zrobimy wakacje.

Usiadł trochę za blisko mnie i przez chwilę miałem wrażenie, że zaraz oprze się o ściankę mojej bańki mydlanej, ale tego nie zrobił.

Jeśli o to chodzi, to Turet był prawdziwym przyjacielem. Szybko zrozumiał, że nie lubię, kiedy się mnie dotyka, nawet gdy nie potrafiłem przejść przez siatkę. Po prostu czekał, aż sobie poradzę.

Nie próbował pytać, o czym myślę, gdy się nie odzywałem. Ani podawać mi bluzy, kiedy było zimno.

Pewnie rozumiał to, bo był starszy ode mnie.

Zawsze mnie ciekawiło, dlaczego prowadzi się z kimś takim jak ja, ale chyba czuł się dobrze w moim towarzystwie.

Być może chciał mieć młodszego brata.

Co nie oznaczało, że ja chciałem mieć starszego.

Trochę się zdziwiłem, jak się okazało, że Turet nie ma na imię Turet, tylko jest chory na coś, co się tak nazywa.

Ta choroba na sto procent nie była zakaźna, bo często piliśmy mineralkę z jednej butelki i nie zauważyłem, abym zaczynał każde zdanie od „uh-duh-duh”.

Ale i tak bardziej podobało mi się Turet niż Heniek.

– Sami sobie zrobimy wakacje – powtórzył Turet.

Nie zapytałem gdzie, no wiedziałem, że ma jakiś plan. Układałem na krawężniku kamyki od największego do najmniejszego, a potem zmieniałem kolejność, żeby było sprawiedliwie.

– Uh-duh-duh. – Turet podał mi jeszcze jeden kamyk.  
– Na Rodos.

Rodos. „Wyspa na Morzu Egejskim” – pomyślałem. Studiowanie atlasu geograficznego, który znalazłem u ojca w pokoju, należało do moich ulubionych zajęć. Wystarczyło, abym raz spojrział na mapę, i zapamiętywałem każdy, nawet najmniejszy szczegół.

– Trochę daleko – powiedziałem, ale Turet wyszczerzył zęby w uśmiechu.

A potem kiwnął głową tak samo, jak kiwał na swojego psa.

To znaczyło: „Chodź i nie pytaj o nic”. Turet często posługiwał się tym, co dorośli nazywają mową ciała.

Poszliśmy przez osiedle, dziwnie puste, bo większość dzieciaków siedziała w domu – było tak gorąco, że podszwy kleiły się do asfaltu.

Pomyślałem, że to dobrze, że moje kamyki zostały na krawężniku, bo gdyby jakimś trafem zostały wdeptane w alejkę, nigdy nie mógłbym odwrócić ich kolejności.

Na skraju osiedla Turet przystanął i trochę pomachał rękami, a ja w tym czasie odtworzyłem sekwencję, w jakiej zostawiłem kamienie.

Przeszliśmy przez stare tory tramwajowe, które tak wrosły w ziemię, że nawet najbardziej uparci złomiarze nie byli w stanie ich ruszyć.

Za torami rozciągał się kawałek czegoś, co dawno temu miało być terenem rekreacyjnym, a nigdy się nim nie stało, bo miastu zabrakło pieniędzy i plan wziął w łeb.

A za tym wszystkim rozciągały się ogrodzone siatką niewielkie ogródki.

– Uh-duh-duh – powiedział Turet, wskazując bramę.

„Rodzinne Ogródki Działkowe” – głosiła biała tablica.

– Rodos – wyjaśnił, pokazując palcem, i zarechotał. – Rodzinne Ogródki Działkowe. Ogrodzone Siatką.

Oświeciło mnie. Pierwsze litery naprawdę układały się w to słowo. A my dostaliśmy się na teren ogródków przez dziurę w siatce.

Pachniało kiełbasą pieczoną na grillu i pomyślałem, że tylko idiota miałby ochotę na coś podobnego w taki upał.

Ale oczywiście to była kwestia upodobań.

Szliśmy główną alejką i nikt nie zwracał na nas uwagi. Ludzie pewnie myśleli, że przyszliśmy tu z rodzicami, i modliłem się, aby Turet nie dostał jednego ze swoich napadów.

Ktoś chyba mnie wysłuchał, bo bez problemu dotarliśmy na sam koniec alejki, gdzie altany nie przypominały już niewielkich domków, lecz zwyczajne drewniane budy.

Te były nieogrodzone, zarośnięte, ale moim zdaniem wyglądały o wiele sympatyczniej niż tamte, bielutkie, ze starannie przyciętymi trawnikami i z krasnalami wyglądającymi z paproci.

– Tu – oznajmił Turet.

Krótkie, proste zdania wychodziły mu bez problemów. A ja nie potrzebowałem więcej informacji.

Przedarliśmy się przez jakieś kłujące krzaki i zdrowo podrapani dobrnęliśmy do drewnianej budki.

Turet wyjął z kieszeni kawałek czegoś, co wyglądało jak pilnik, wsadził go w ucho, w którym tkwiła kłódka, i pociągnął.

Drzwi otworzyły się, cicho skrzypiąc.

Zapachniało sianem, zupełnie jakbyśmy weszli do stodoły.

Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do półmroku, dostrzegłem leżący na podłodze siennik, tuż obok okrągły metalowy stolik i dwa drewniane krzesła. Turet schylił się i wyjął spod siennika latarkę.

– Uh-duh-duh – powiedział, a w jego głosie brzmiała duma. – Moje dzieło.

Było się czym chwalić. I w jednej chwili wszystko zrozumiałem. Na dodatek przypomniałem sobie, że w moim pokoju pod łóżkiem, w pudełku z przydatnymi drobiazgami, leży duża, ciężka kłódka.

Turet powiesił latarkę na wbitym w ścianę gwoździu i usiedliśmy na sienniku.

– Uh-duh-duh, ho-hotel Ho-holidej – powiedział.

W powietrzu było tyle kurzu, że zakręciło mnie w nosie, i siłą powstrzymałem się, aby nie kichnąć.

Ale rzecz jasna nawet gdybym kichnął, nikt by mnie nie usłyszał. Bo chyba nikogo nie interesowało, co się dzieje w tej części ogródków.

Turet zachowywał się tak, jakby był u siebie w domu, no i pewnie był, bo zadbał o wszystko. Wyjął ze skrzynki stojącej za siennikiem butelkę mineralnej i dwa plastikowe kubki.

– Nie lubię z plastiku – przypomniałem mu.

Zmartwił się i obiecał, że przyniesie zwyczajny kubek, a na razie mogą pić z butelki. Patrzyłem, jak pije z plastikowego kubka, i ciarki przechodziły mi po ple-

cach. Zdecydowanie wolałem szkło. Było twarde, chłodne. Stabilne.

Plastik można było zmiąć jak kartkę papieru. A ja lubiłem trwałe rzeczy. Na przykład kamyki.

Nie wiem, jak długo siedzieliśmy w naszej budzie. Nie gadaliśmy, tylko patrzyliśmy na kurz, który unosił się za każdym razem, kiedy poklepałem siennik.

Było tak dobrze, że nie miałem ochoty iść do domu, ale Turet powiedział, że musimy. Z początku odmówiłem współpracy, ale kiedy zaczął się denerwować, ustąpiłem.

Ostatecznie jutro też był jakiś dzień.

Moi rodzice wcale się o mnie nie martwili. Nie wiem, czemu wbili sobie do głowy, że przez cały dzień bawię się kamykami. Jakbym nie miał nic lepszego do roboty.

Kamyki. Kiedy wróciliśmy przed blok, sprawdziłem, czy są na swoim miejscu. Były wszystkie.

Bo komu przyszłoby do głowy ukraść zwyczajne szare kamienie, jakich mnóstwo poniewiera się w piaskownicy?

Dobrze, że nikt nie wiedział, jakie mają dla mnie znaczenie. Zebrałem je z ziemi i schowałem do kieszeni.

Pomachałem ręką Turetowi.

A potem wszedłem do klatki. Było ciemno, bo ktoś znowu wykręcił żarówkę, ale znałem te schody na pa-

mieć. Wystarczyło raz je policzyć, a później wszystko szło gładko.

Kiedy pojawiała się nowa żarówka, lubiłem pokonywać stopnie z zamkniętymi oczami, żeby nie wyjść z wprawy. Na wszelki wypadek.

Jak już znalazłem się w domu, to podszedłem do okna i wyjrzałem na podwórko. Na ławce przy piaskownicy siedział Turet i palił papierosa. Mówiłem mu wiele razy, że to nie jest zdrowe, ale chyba do niego nie dotarło.

Widziałem kiedyś zdjęcie płuc palacza i wołałbym, żeby Tureta coś takiego nie spotkało, ale wcale się tym nie przejął. Tylko tyle, że zaczął się przede mną ukrywać.

Pomyślałem, że jeżeli będę spędzał z nim dużo czasu, to będzie go mieć mniej na papierosy.

Najpierw próbowałem sobie tłumaczyć, że Turet chce przestać palić i z tego powodu spędza czas ze mną, ale okazało się, że mnie lubi.

Sam to powiedział.

– Uh-duh-duh, Porszak, równy z ciebie ziomal.

Porszaka wymyślił w rewanzu za Tureta, bo mu się skojarzyło z autem, i wkrótce cała dzielnia – tak nazywał dzielnicę – wołała na mnie Porszak.

Oczywiście moi rodzice musieli się o tym dowiedzieć. Matka się bardzo zdenerwowała, a tata stwierdził, że Tu-

ret to sprytnie wymyślił. I kiedy mama nie słyszała, sam się tak do mnie zwracał.

Jeżeli chodzi o mnie, to byłem naprawdę ciekawy, dlaczego i za co Turet mnie polubił. Pewnie miał swoje powody.

A za co ja lubiłem Tureta, to chyba już powiedziałem.

No i oczywiście byłbym zapomniał o Rodos. Gdyby nie Turet, siedziałbym całe lato pod blokiem jak ten pies.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
05-075 Warszawa-Wesoła, ul. Apteczna 6  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [naszaksiegarnia@nk.com.pl](mailto:naszaksiegarnia@nk.com.pl)

Dział Handlowy  
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32  
e-mail: [sklep.wysylkowy@nk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@nk.com.pl)  
[www.nk.com.pl](http://www.nk.com.pl)

*Książka została wydrukowana na papierze  
Ecco Book Cream 65 g/m<sup>2</sup> wol. 2,2.  
ANTALIS Polska*

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*  
Opieka nad projektem *Magdalena Korobkiewicz*  
Redakcja *Sylvia Sandowska-Dobija*  
Korekta *Roma Sachnowska*  
Redakcja techniczna, DTP *Agnieszka Czubaszek-Matulka*

ISBN 978-83-10-13539-1

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2020 r.  
Wydanie pierwsze  
Druk: POZKAL, Inowrocław